

JAK KWITNĄCE DRZEWO

Florencja średniowieczna
i renesansowa

SILVIA DIACCIATI,
ENRICO FAINI,
LORENZO TANZINI,
SERGIO TOGNETTI

Przekład
Hanna Podgórska



II. ZASADY GRY

14 grudnia 1295 roku zebrała się we Florencji rada złożona z tak zwanych kapituł rzemiosł, czyli przedstawiciele cechów, oraz „mędrców”, czyli grupy najbardziej wpływowych obywateli, wybranych przez władze na ciało doradcze. Najważniejszym punktem porządku obrad był sposób wyłaniania priorów, którzy mieli rządzić miastem przez dwumiesięczne kadencje. Sprawa delikatna i wielkiej wagi, bowiem zarówno wówczas, jak i dzisiaj ordynacja wyborcza to nie abstrakcyjne i neutralne reguły gry, lecz narzędzie faworyzowania którejś z rywalizujących ze sobą stron sceny politycznej. W archiwach Florencji zachowały się protokoły z dziesiątków podobnych posiedzeń, ale to przeszło do historii dzięki przemowie trzydziestoletniego intelektualisty, człowieka bez zaplecza politycznego, za to z rosnącym kapitałem powagi i szacunku – Dantego Alighieri. Zapis tego spotkania, mimo sztywnych sformułowań żargonu notarialnego i niszczącego upływu czasu, pozwala się domyślać bardzo ożywionej dyskusji. Wszyscy, którzy zabrali głos, byli zgodni co do podstawy wyboru: najpierw należało stworzyć listę uprawnionych do objęcia urzędu z wszystkich sześciu okręgów miejskich (podział na dzielnice datuje się dopiero od 1343 roku). Następnie specjalnie powołana komisja miałaby oceniać kandydatów i stopniowo eliminować ich nazwiska, aż pozostanie tylko sześciu przyszłych priorów. Problem polegał na tym, kto i jak miałby sporządzić wstępną listę, ponieważ było oczywiste, że wynik głosowania na ujęte w niej nazwiska podlegałyby co najwyżej drobnym zmianom, ale w głównym zarysie byłyby przewidywalny.

Punkt wyjścia stanowiła opinia niejakiego Neriego di Attagliante: listę potencjalnych kandydatów powinni sporządzić urzędujący priorzy w porozumieniu z władzami cechów, co wzmocniłoby ciągłość władzy i przyniosło jej korzyść. Sprzeciwił się temu Oddo Altoviti, reprezentant jednej z ważniejszych rodzin plebejskich, który zadanie wpisania na listę czterech nazwisk z każdego okręgu chciał powierzyć starszyźnie cechowej, ograniczając do minimum wpływ urzędujących władz. Wówczas głos zabrał Dante Alighieri, wysuwając postulat, by o listach w poszczególnych okręgach decydowały rady na podstawie opinii podkomisji złożonych w połowie z członków gildii, w połowie z doradców, czyli mędrców (*sapientas*). Była to propozycja kompromisowa, gdyż w przeciwieństwie do starszyzny cechów, mędrcy byli wybierani przez priorów, a więc ich podkomisja wpisywałaby na listę nazwiska osób przychylnych urzędującej władzy. Ostatecznie zdecydowano, że sporządzone zostaną dwie osobne listy, jedna przez gildie, druga przez mędrców, a zwołane ad hoc zgromadzenie ogółu obywateli będzie głosowało na każdą z nich naprzemiennie, dokonując reprezentatywnego wyboru

„przetasowanych” kandydatów. Opinia Dantego, która w sposób umiarkowany uwzględniała aspiracje urzędującej władzy do kontrolowania wyborów, nie zdobyła poparcia, ale biorąc pod uwagę cierpienia, jakich poeta miał doświadczyć za poglądy wyrażane w nadchodzących latach, tym razem poszło całkiem nieźle.

Dziwna demokracja

Poprzedni akapit może się wydawać skomplikowaną i nudną relacją z obrad parlamentarnych, ale w istocie dobrze ilustruje kształtowanie się polityki miasta w latach Drugiej Republiki. Spory o ordynację wyborczą stały się rdzeniem życia publicznego. Dziś postrzegamy takie dyskusje jako dziwaczne i nieco jałowe, a za wręcz absurdalny uważamy fakt, że problem z podjęciem decyzji, jak wybierać władze, pojawiał się regularnie co dwa miesiące i kilkadziesiąt osób zbierało się kilka razy w tygodniu, by o nim z pasją dyskutować. No cóż, polityka jest męcząca, a demokracja to zdecydowanie najtrudniejszy model rządzenia. Pomyślmy o tym, co działo się na zewnątrz pałacu: dziesiątki lat walk partyjnych dosłownie wykrwawiły miasto, a przedłużający się konflikt pociągał dramatyczne następstwa w postaci represji, banicji, zniszczeń i tym podobnych. Spory o mechanizmy funkcjonowania instytucji, choć uciążliwe, zdradzieckie i z pewnością uwarunkowane partykularnymi interesami, były nadzwyczaj pokojową wersją walki w porównaniu z tym, co mogło się dziać na ulicach.

Reasumując: priorzy utożsamiali się z władzą miasta, a wszystkie uprzedzenia i zaciekle spory, które dzieliły Florencję, przybrały teraz formę równie konfliktową, ale z pewnością mniej krwawą – rywalizacji wyborczej. Ówczesni literaci opisywali tę przemianę w tonie moralistycznym, bowiem Florentyńczycy popadli w obsesję władzy, rzucili się do „wyścigu o urzędy”¹, jak to nazwał Dino Compagni (1246/47–1324). Jeśli warto było konkurować tak zaciekle, stawka z pewnością była wysoka.

Co w istocie robili owi priorzy, o których tyle mówimy? W teorii byli przedstawicielami „ludu”, czyli tych grup społecznych, które doszły do głosu w XIII wieku. Czytając statuty miejskie, dowiadujemy się, że jeszcze w połowie następnego stulecia ich zadaniem było chronienie bezbronnych plebejuszy przed przemocą magnatów, czyli możnych przedstawicieli „starych” rodów, grasujących ze zbrojną swiątą między ufortyfikowanymi siedzibami. Ale nie dajmy się zwieść tej retoryce obrony, czy wręcz wojowniczej terminologii, mgliście przywołującej złowrogi ton „strażników rewolucji” we współczesnych nam reżimach. Tych sześciu obywateli wybieranych co dwa miesiące mogło się nazywać prefektami cechów i obrońcami

¹ Dino Compagni, *Cronica delle cose occorrenti ne' tempi suoi* [1310–1312], wydanie krytyczne, oprac. Davide Cappelletti, Roma 2000, s. 5, 52.

ludu, pozwalać, by im przewodniczył gonfalonier sprawiedliwości, który dosłownie niósł sztandar Statutów Sprawiedliwości przeciwko magnatom, korzystać z rad kapitanów milicji i gonfalonierów stowarzyszeń, ale istotą ich funkcji było nic innego, jak władza sama w sobie, polityka w pełnym tego słowa znaczeniu, zarządzanie finansami wspólnoty, organizowanie robót publicznych, utrzymywanie relacji z sąsiednimi miastami oraz dbanie o spokojny i jak najbardziej owocny rozwój społeczeństwa. Priorzy niemal przez cały czas przebywali zamknięci w pałacu, gdzie dyskutowali i naradzali się w nieodłącznym towarzystwie notariuszy i skrybów, wychodzili tylko po to, by przewodniczyć radom, zwykle zwoływanym w kościele San Pier Scheraggio lub w obecnym Palazzo del Bargello, a więc co najwyżej przechodzili na drugą stronę ulicy albo nie opuszczali siedziby w ogóle, gdy utrwalił się zwyczaj zwoływania rad w przestronnych salach Palazzo Vecchio. Ale nawet ta specyficzna świecka klauzura była tylko pozornie oznaką obrony przed zagrożeniami ze strony wrogów ludu lub subtelnych pokus korupcyjnych. W rzeczywistości Florencja Dantego wiedziała, że prawdziwa władza musi się zasłaniać, musi być obecna, ale niewidoczna, chroniona przez kurtynę dystansu, która tworzy aurę autorytetu i szacunku. To lekcja, jakiej Florentyńczykom udzieliła najstarsza i najbardziej paradoksalna spośród średniowiecznych republik – Wenecja, w której doża był kimś w rodzaju domniemanego suwerena, widywanego tylko podczas ceremonii publicznych, gdy objawiał się jako swoiste symulakrum, bardziej jako symbol republiki niż jako człowiek z krwi i kości.

Priorzy wraz z tzw. kolegiami Szesnastu Gonfalonierów i Dwunastu Zacnych Mężów (*Dodici Buonuomini*), czyli komitetami politycznymi współpracującymi przy zarządzaniu miastem, tworzyli politykę przez duże P, zarówno poprzez język, jak i ideały związane z ludem i cechami, od których władza republikańska wzięła początek. Warto zaznaczyć, że ideowe odniesienia były czymś bardzo poważnym, na pewno nie maską. Dokładnie w czasach Dantego brat Remigiusz z Girolami, znamienita postać z klasztoru Santa Maria Novella, swoje mądre i erudycyjne kazania o pokoju i wspólnym dobru kierował bezpośrednio do priorów, wiedząc, że znajdzie w nich uważnych i życzliwych słuchaczy. „Dobro wspólne” nie było wyświechtanym hasłem pokrytym grubą warstwą hipokryzji jak w dzisiejszych czasach, ale nawet w tamtej epoce jego koncepcja była problematyczna: zgoda co do zasady, ale w praktyce co to znaczy „czynić dobro wspólne”? Odpowiedź dawało zamówienie dekoracji malarskiej jednego z pomieszczeń Palazzo del Bargello powierzone przez miasto Giotto (ok. 1265–1337) w pierwszych latach XIV wieku. Na malowidle, które dziś już nie istnieje, ale w tamtych czasach było bardzo znane i często naśladowane, Giotto przedstawił komunę miejską pod postacią czcigodnego starca. Nikt wcześniej czegoś takiego nie zrobił. Malowano personifikacje Sprawiedliwości, Miłosierdzia lub innych cnót, ale nigdy Wspólnoty jako władzy publicznej. To, czemu geniusz Giotto nadał formę artystyczną, pojawiło się jako idea w polityce tamtych lat – dobro wspólne to dobro republiki, czyli dobro

instytucji rządzącej miastem jak czcigodny ojciec. Prawdziwa cnota obywatelska polega na pełnieniu urzędów, przestrzeganiu praw miasta i podporządkowaniu się jego władzom. Słowem, jest to działanie na rzecz podmiotu abstrakcyjnego, a zarazem bardzo konkretnego – państwa.

Obywatele i urzędy

Dla obywateli czternastowiecznej Florencji pełnienie urzędów oznaczało co innego niż możemy sobie wyobrazić dzięki powierzchownemu porównaniu z teraźniejszością. Po pierwsze, była to rzecz bardzo powszechna. Dokonajmy prostego obliczenia: jednocześnie urzędowało sześciu priorów, na początku XIV wieku dwunastu, po 1343 roku ośmiu, zawsze przez dwa miesiące, podobnie jak gonfalonier sprawiedliwości, który im przewodniczył, gonfalonierów stowarzyszeń było dziewiętnastu, potem przez długi czas szesnastu wybieranych co sześć miesięcy, co pół roku wybierano także Dwunastu Zacnych Mężów – w sumie co najmniej setka obywateli każdego roku obejmowała stanowisko rządowe. Do tego należy dodać ponad sześciuset członków rad, których na początku XIV wieku było pięć, oraz mędrców i przewodniczących kapituł, czyli kolejne tuziny osób. Zważywszy, że miasto liczyło około 100 tysięcy mieszkańców, a kobiety – rzecz jasna – nie uczestniczyły w życiu publicznym, odsetek osób pełniących urzędy był niezwykle wysoki. To niekoniecznie oznacza demokrację lepszą od innych, ale z pewnością dowodzi ogromnego wpływu społeczeństwa na ośrodki władzy, nieporównywalnego ze współczesnymi systemami politycznymi. Do regulowania tego wpływu konieczne były bardzo wyrafinowane mechanizmy. Z biegiem lat zarzucono ustawiczne dysputy o sposobach elekcji na rzecz systemu, który zachowywał podstawową ideę, ale był bardziej funkcjonalny: tzw. *imborsazione*. Co jakiś czas zbierały się wielkie komisje urzędników i szacownych obywateli, które spisywały bardzo obszerną listę osób zdolnych do objęcia danego stanowiska, po czym następowała „selekcja”, czyli badanie domniemanych cech poszczególnych kandydatów pod kątem dobra wspólnego. Zamiast od razu dokonywać wyboru z listy, sporządzano wiele małych zwojów pergaminu – każda rolka zawierała jedno imię – i umieszczano je w specjalnych sakwach, zwanych *borsami* (stąd nazwa tego etapu procedury – *imborsazione*).

Borse zawierały rulony z dziesiątkami nazwisk, spośród których – gdy zbliżał się koniec kadencji – losowo wyciągano tyle, ile było urzędów do obsadzenia. W sakwach zostawało coraz mniej rulonów, aż po kilku latach całkiem się opróżniały i cały proces „wyborczy” zaczynało od nowa. System został ostatecznie wprowadzony w życie w 1328 roku, ale jeszcze długo go poprawiano poprzez rozmaite udoskonalenia: priorzy losowani byli z odrębnych sakw niż inni urzędnicy, a nazwiska kandydatów do wszystkich instytucji wyciągano z sakw

przypisanych do konkretnych okręgów czy dzielnic, aby zachować stałą proporcję w reprezentacjach różnych części miasta. Losowy wybór na ważne stanowiska nie powinien zbyt dziwić. System ten – stosowany już w starożytnej Grecji – uznano za odpowiedni, gdyż pozwalał wyeliminować nieuniknione przedtem konflikty między kandydatami i był bardziej egalitarny od wyborów sensu stricto, które miały tendencje (nie tylko wówczas) do faworyzowania osób ogólnie znanych, ze szkodą dla ludzi pozostających w cieniu, ale zdolnych i cnotliwych. W każdym razie liczne poprawki zdołały doprowadzić procedurę do perfekcji: zakładano, że etap „selekcji” wyeliminuje osoby owiane złą sławą, więc wiele nazwisk wykreślano z listy z powodu negatywnej opinii współobywateli. Gdy ktoś miał wrogów politycznych zdolnych wpływać na komisję, tym gorzej dla niego. Ponadto osoby, których nazwiska raz umieszczono w sakwie lub wylosowano, nie od razu obejmowały stanowiska, czyli były, jakbyśmy dziś powiedzieli, „zamrożone”. Trzeba było sprawdzić, czy krewny osoby wylosowanej nie zasiadał w tym czasie na urzędzie lub czy sam wylosowany nie piastował tego lub bardzo podobnego stanowiska w ostatnich latach – w tym celu istniała tabela niezgodności, nazywana „zakazem” (*divieto*). Chodziło o to, by instytucje miasta działały w rytmie bardzo intensywnej rotacji, uniemożliwiającej konsolidację zbyt silnych grup władzy opartej na związkach rodzinnych, zawodowych lub partyjnych. W wyniku połączenia wszystkich tych mechanizmów obywatel bez szczególnych przeszkód kilka razy w życiu miał dużą szansę na taką lub inną aktywność polityczną.

W społeczeństwie, w którego życiu uczestniczyli prawie wszyscy, a które nie znało elekcji poprzez głosowanie, jak w naszych czasach, wybór na urzędnika był doświadczeniem związanym z samym statusem obywatela. Warto pamiętać, że nie istniała wówczas koncepcja zawodowego polityka, a główni urzędnicy, z priorami na czele, nie dostawali wynagrodzeń. Nawet najaktywniejsi obywatele, kupcy, prawnicy czy zamożni właściciele ziemscy, którzy piastowali kilka stanowisk i zasiadali w wielu komisjach lub ciałach doradczych w ciągu roku, robili to w czasie wolnym od obowiązków zarobkowych. Krótko mówiąc, status obywatela pociągał za sobą karierę polityczną i odwrotnie. Co więcej, nawet „selekcja” była oficjalnym przyznaniem danej osobie godności obywatela. Wydaje się zatem zrozumiałe, że pojęcie „obywatelstwa” miało kluczowe znaczenie. Przywilej bycia obywatelem – inaczej niż we współczesnym świecie Zachodu – nie był powszechny, dostępny dla wszystkich i nabyty raz na zawsze, ale miał wielopoziomą strukturę. Najniższy poziom, najbardziej banalny, ale też najistotniejszy, to prawo do bycia sądzonym wyłącznie przez trybunały miejskie: obywatel mógł liczyć na to, że nie stanie przed sędzią ani pana feudalnego, ani biskupa – co było bardzo pożądanym uprawnieniem – i wiedział, że władze Florencji nie pozwolą, by inni sędzili człowieka podlegającego ich jurysdykcji. By się cieszyć tym przywilejem, wystarczyło być rezydentem wpisanym do ksiąg podatkowych, zgodnie z zasadą, że ci, którzy przyczyniają się do utrzymania wspólnoty, zasługują na ochronę swoich praw.